

odgłosy

KRZYSZTOF
POGORZELEC

ADAM
LEWASZKIEWICZ

MIESZKANIEM można zabić JAK SIEKIERĄ

Przez trzy lata wszystko układało się pomyślnie. Potem — pierwsza pijacka awantura i coraz częstsze interwencje milicji. Któregoś wieczoru on wrócił do domu pijany, sprzeczką, głuche razy... Sąsiedzi podobno „nie słyszeli”. Z protokołu MO: „Poszkodowaną Zofię N. odwieziono do szpitala. Stwierdzono ogólne obrażenia ciała na skutek uderzeń, a ponadto poparzenia III stopnia wywołane oblaniem wrzątkiem. Stan ciężki, groźba trwałej utraty zdrowia. Sprawca — mąż poszkodowanej — zatrzymany w areszcie”.

Epilog: rozwód, on na ławie oskarżonych, wyrok — 3 lata więzienia za nastawanie na życie...

Wyrok Sądu Wojewódzkiego dla m. Łodzi skazujący Mieczysława N. na 3 lata więzienia wcale nie jest finałem tej sprawy. Co jakiś czas do Zofii N. nadchodzą listy opatrzone więzienną pieczęcią. Mieczysław N. pamięta o swojej byłej żonie i dziecku. Mieczysław N. pisze listy. Miałem w ręku jeden z tych zabazgranych olówkiem karteluszków: „Poznasz ty mnie jeszcze... jak wrócę to Twoje i szczeniaka dni są policzone. Za te trzy lata za kratą, gdzie mnie wsadziliś...”.

Mieczysław N. kończy odsiadanie kary w dniu 30 kwietnia 1963 roku. A wtedy?

* * *

Zofia N. nie spodziewała się wizyty dziennikarza.



Prawdę mówiąc — była nawet zalękniona.

— Bo widzi pan, nas i tak mają tutaj sąsiedzi za „coś gorszego”. Twój ojciec siedzi w kryminale — wolają dzieciaki z naszego podwórka za moim chłopcem...

Czy może pokazać listy z więzienia? Owszem, zresztą okazywała je już różnym władzom jako dowód, że jej obawy nie są wyimaginowane.

„Popamiętasz Ty mnie jeszcze i Twój braciśzek, który podobno tak lata w Twojej sprawie. Nie pozabawicie mnie mojego mieszkania. Jak wrócę to nie zdąży do Ciebie pogotowie...” „Pakuj już dziś manatki i wynocha z mieszkania. Jest moje, ja mam do niego prawo...” „Nie ci nie pomoże łażenie po różnych urzędach i tak ci nie pomogą. Radzę po dobroci — pakuj swoje graty i uciekaj z moich oczu, bo inaczej...”

Zofia N. chodziła po różnych urzędach. Była także w redakcji. Co powiedział? Cóż, bardzo współczuli, próbowali interweniować, sprawą zainteresował się opiekun społeczny.

Zofia N. złożyła wniosek o nowe mieszkanie. Nie chodziło jej o „bloki”. Ot — jakiś samodzielny pokój do którego mogłaby się przenieść ze swoim dzieckiem: Najlepiej — jak mówi — położony w innej dzielnicy miasta, byle dalej od obecnego mieszkania.

W Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej powiedzieli Zofii N., że będą

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok VI.
Łódź, 28. IV. 63.
Nr 17 (269)
Cena zł 1.—

BOLESŁAW LESMAN

ŚWIADECTWO UCZCIWOŚCI

za

55

groszy



Tyła było właśnie potrzeba, by ekspedientka w jednym z łódzkich sklepów mięsnych otrzymała świadectwo w postaci protokołu Państwowej Inspekcji Handlowej. Nie podam jej nazwiska — zostało ono i tak już „uwiecznione” w rejestrach PIH i dyrekcji Miejskiego Handlu Mięsem. Jeszcze jedna, lub dwie takie pomyłki, a straciłoby posadę. Służbowa notatka o tym powoduje o szczebel wyżej, do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego, gdzie prowadzi się rejestr osób ukaranych za nadużycia. Wszystko jedno, jakiej skali było to nadużycie, czy sprawa zawędrowała do sądu, czy też skończyło się tylko na wymówieniu pracy. A osób, których nazwiska znalazły się w rejestrze ministerstwa nie wolno już zatrudnić na żadnym stanowisku materialnie odpowiedzialnym.

Miała i tak szczęście. Nasilenie drobnych oszustw na szkodę klientów skłoniło Państwową Inspekcję Handlową do zaostrzenia form kontroli, do wprowadzenia metod bardziej skutecznych, ujawniających natychmiast czy to tylko pomyłkę, błąd w obliczeniu, pośpiech w wagi, czy też — wypracowana taktyka oszukiwania klienta.

Kontrole PIH przeprowadzane są teraz najczęściej przy pomocy aktywistów społecznych, delegowanych przez Komisję do Walki ze Spekulacją, lub przez związki zawodowe. Społeczni kontrolerzy ustawiają się w kolejce i dokonują dwóch lub trzech próbnych zakupów. Po zaplaceniu należności ujawniają się inspektorzy PIH, sprawdzają wagę i cenę tych zakupów. Robią to samo z zakupami innych klientów, którzy odeszli już od kasy, a nie zdolali jeszcze opuścić sklepu.

Nierzadko okazuje się, że wszyscy kolejni klienci zostali oszukani. Nadolali drobne wprowadzi sumy, od kilkunastu groszy do dwóch lub trzech złotych, sumy te jednak stanowią za wyjątkiem od dziesięciu do piętnastu procent wartości zakupu. Policzcie, ile zostaje „czystej nadwyżki” w najskromniejszym sklepie o obrocie miesięcznym w wysokości pół miliona złotych. Co najmniej trzydziście — licząc najskromniej — tysięcy złotych. Co się z tymi pieniędzmi dzieje? O tym później.

Po jednej z takich kontroli, w grudniu ubiegłego roku w sklepie przy ul. Nowotki, inspektorzy PIH zarzadzili na tychmiastowy remanent. Okazało się, że w ciągu 6 godzin sprzedaży w kasie sklepu powstała nadwyżka wynosząca około dwa i pół tysiąca złotych. W sklepie tym pracowały cztery osoby.

Czy można te fakty uogólnić? W pewnej mierze tak, choć na pewno nie wszędzie oszukuje się klientów. Zaimmy się na chwilę statystyka. Da nam to zupełnie jasny obraz sytuacji.

W ciągu IV kwartału ub. roku inspektorzy PIH skon-

robit wszystko co w ich mocy. Ale niewiele mogli.

— Nie mamy żadnych rezerw proszę pani, a takich spraw jak ta nazywało się w tym roku już 4...

Zofia N. otrzymała mieszkanie w roku 1965. Mieczysław N. wraca z więzienia 30 kwietnia 1963 roku. Czy

wtedy zrealizuje swoje

groźby?

Wróci do mieszkania swojej byłej żony to pewne. Ścisłej — do jednej izby, którą wraz z dzieckiem zajmuje obecnie Zofia N. Takie jest bowiem prawo: eksmisja może nastąpić tylko wtedy, jeżeli lokator nie płaci komornego przez trzy okresy płatnicze.

Wprowadzie dodatkowa klauzula mówić, że może to również nastąpić w wypadku, gdy lokator zakłóca spokój, ale ten przepis znoszony jest przez inny: opuszczający więzienie po odsiedzeniu kary mają zagwarantowane prawo do otrzymania jakiegos locum. To „jakiegoś” znaczy najczęściej — to samo mieszkanie, które dawniej zajmowali, jeżeli tylko nie było „mieniem nabytym drogą nieuczciwych operacji”.

Dla Zofii N. ta alternatywa ze zrozumiałych względów jest nie do przyjęcia. Jej starania w radzie zakładowej przedsiębiorstwa, w którym pracuje przyniosły też połowiczne rezultaty. Rozdzielenie mieszkań z budownic-

stwa zakładowego nastąpi dopiero za rok. W tej chwili izb „awaryjnych” nie ma...

Historia Zofii N. bynajmniej nie jest marginalna. Kryje się w niej niezwykle ważny problem społeczny, a nawet — moralny. Jest to chyba problem krzywdy i kary.

A takich spraw jak ta, jest bardzo wiele i coraz więcej. Może warto tutaj podać jeszcze jedną również autentyczną historię z kręgu współczesnych nam stosunków międzyludzkich. Rzecz dzieje się na jednym z łódzkich przedmieść. Właściciel małego domku wynajął młodemu małżeństwu mieszkanie złożone z jednej izby. Po pewnym czasie poprawne dotąd stosunki popsuły się, dochodzi do gwałtownych spięć. Pówd? Właściciel domu doszedł do wniosku — przy czym niebagatelną rolę odegrała tu zapewne odpowiednio okragła „oferta”

Dalszy ciąg
na str. 5

Dalszy ciąg
na str. 2

Świadectwo uczciwości za 55 groszy

Dalszy ciąg
ze str. 1

trolowali w Łodzi 80 sklepów mięsnych. Na tę ilość tylko cztery sklepy mogą się pochwalić protokołami „bez wymiaru”, to znaczy takimi, w których nie stwierdza się żadnych uchybień.

W efekcie 76 kontroli „wynikowych” PIH wystąpił do dyrekcji MHM z 98 wnioskami o ukaranie winnych. 7 osób zostało zwolnionych z pracy, 77 osób ukarano administracyjnie (ostrzeżenia, nagany, potrącenia premii itp.). 14 wniosków PIH nie zostało przez dyrekcję uwzględnionych.

Zwalniano z pracy tych sprzedawców, u których stwierdzano seryjne „pomyłki” na szkodę klienta, w trzech lub nieraz czterech kolejnych zakupach. Wszystkie jednorazowe pomyłki potraktowano w myśl rozgrzeszającej zasady, że „człowiek jest omylny”.

Stara to prawda, że człowiek jest omylny. Ale czy tak często?

Do zupełnie innych wniosków można dojść zagłębiając się w statystykę kontroli, przeprowadzanych przez tzw. „organa kontroli wewnętrznej” przedsiębiorstw handlu mięsem. W pięciu dzielnicowych dyrekcjach Miejskiego Handlu Mięsem w Łodzi, za trudnionych jest osiem inspektorów handlowych. W myśl okólnika Ministra Handlu Wewnętrznego z dnia 11. VII. 1962 r., inspektorzy handlowi są obowiązkani na bieżąco kontrolować działalność sklepów prowadzących sprzedaż mięsa i artykułów mięsnych. I dalej szczegółowo:

„Gdy inspektor handlowy w okresie miesięcznym nie stwierdzi nadużyć lub niedociągnięć w kontrolowanych sklepach... a organ kontroli zewnętrznej (tzn. PIH, lub inny, nie podległy przedsiębiorstwu — przyp. mój B. L.) w tymże okresie ujawni nieprzebieżanie w tych sklepach przepisów o sprzedaży mięsa i artykułów mięsnych, należy dokładnie przeanalizować pracę inspektora handlowego... Gdy podobny stan rzeczy powtórzy się w jednym z następnych miesięcy, należy rozwiązać z nim stosunek pracy z zachowaniem ustawowego terminu wypowiedzenia umowy o pracę”.

Po tym dokładnym określeniu obowiązków inspektorów handlowych możemy wreszcie podać statystyczne wyniki ich pracy w IV kwartale ub. roku, a więc w tym samym okresie, z którego pochodzą dane PIH.

Otóż inspektorzy handlowi MHM przeprowadzili w tym czasie 115 kontroli, podczas których w 26 przypadkach stwierdzono rozmaite uchybienia. Zgłosili 17 wniosków o ukaranie administracyjne. Dyrekcje ukarały 16 osób karami porządkowymi. Wszystkie to dotyczy dwóch dyrekcji MHM: Łódź — Górna i Łódź — Bałuty. Natomiast w pozostałych trzech dyrek-

cyjach (Widzew, Śródmieście i Polesie) nie stwierdzono żadnych uchybień. Żeby być bardziej ścisłym powiem, że z owych 17 wniosków, 10 wniosków wystawił jeden inspektor handlowy z MHM Łódź — Górna — notabene były pracownik PIH.

Niestety. Nikt w tę drugą jakże optymistyczną statystykę nie uwierzył. Można z niej raczej wyciągnąć inne wnioski: o kwalifikacjach inspektorów handlowych, o ich zainteresowaniu swoją pracą, o nadzorze nad ich pracą ze strony dyrekcji i wreszcie o... wzajemnych powiązaniach między personelem sklepów a pracownikami dyrekcji.

Ten ostatni wniosek znalazł potwierdzenie kilka miesięcy temu w jednej z sal okazałego gmachu przy placu Dąbrowskiego. Toczyła się rozprawa sądowa przeciwko dwóm dyrektorom MHM, oskarżonym o pobieranie stałych haraczy od pracowników sklepów mięsnych. Sprawa wynikła po skardze jednej z pracownic, przyłapanej na nadużyciach przez PIH. Na wniosek PIH dyrekcja musiała ją zwolnić z pracy. Ona tego nie mogła zrozumieć. Jak to? Przecież regularnie przekazywała część swoich „lewych” dochodów. Poszła na skargę do Prokuratury.

Sąd udowodnił winę oskarżonym i zapewnił im na jakiś czas ścisłą izolację za grube mury. Warto tu jeszcze przytoczyć zdanie jednego z oskarżonych, który tymi słowami próbował umniejszyć swoją winę:

„Ja tego systemu łapówek nie zorganizowałem. On istniał już przed moim przyśięciem do przedsiębiorstwa. Przyszedłem do gotowego”.

Jesteśmy skłonni mu wierzyć.

Tak daleko zaprowadziła nas sprawa świadectwa nieuczciwości, wystawionego za 55 groszy jednej z ekspedientek sklepu mięsnego. Czy to problem gospodarczy? Na pewno tak, ale za nim kryje się problem nieporównanie ważniejszy i głębszy niż system zorganizowanych oszustw. Jest to problem etyki i moralności, problem naruszania zasad współzycia społecznego.

Nie jest łatwa praca ekspedientki w sklepie mięsnym i nie jest to praca dobrze płatna. Jest to również praca odpowiedzialna: każde przechylenie wagi na korzyść klienta, każda źle obliczona należność, odbije się na kieszeni ekspedientki. Jeśli powstanie manko — pokryje je sama z własnych, niewysokich zarobków.

My, klienci wiemy o tym. I wolimy, żeby ta waga przechylała się na naszą niekorzyść. Pół dekagrama wędliny, czy 20 groszy, na zakupie, nie dla nas nie stanowi. Dla ekspedientki te drobne różnice, pomnożone przez ilość klientów, mogą stanowić całą pensję. A przecież ona na to ciężko pracuje.

Ale jakże trudno uchwycić tutaj granicę między ostrożnością, a nieuczciwością. Jak łatwo tę granicę przekroczyć!

Nawet ze zwykłej ostrożności mogą się w kasie sklepu zebrać znaczne sumy. Jak wielka jest wtedy pokusa, by być jeszcze trochę bardziej ostrożnym? Szczególnie, że przecież nikt z nas nie zarabia za dużo.

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963 ZDZISŁAW GŁOWACKI



„Każdy artysta określa siebie poprzez to co robi — mówi pan Zdzisław Głowacki — w gruncie rzeczy najlepiej i najpełniej wyrażamy właśnie tam, w malowaniu, to jacy jesteśmy. Nie wiem, czy twórca może do końca wylumaczyć to, co staje się obrazem, a więc rzeczka niejako istniejąca obok, niezależnie od niego. Namalowany obraz tłumaczy się sam. Beze mnie, nabiera niejako własnego bytu. Obraz po jakimś czasie staje mi się obcy, przemawia innymi treściami niż te, które malując umieszczałem w nim. Tylko pamięć podsuwa mi te treści. Skończony obraz oznacza zamknięcie pewnych przemysłów, coś z nich naturalnie przenoszę na inne płótno: ale to już co innego”.

Obrazy pana Zdzisława Głowackiego są dramatyczne. Oznaczają coś, co tkwi w nas gdzieś w środku szczelnie ukryte i prawie zapomniane. Dlatego może są tak przerażające okrutnie i tak bezwzględne. Płótna te przekonują, że malarstwo pozbawione treści jest tylko zabawa w sztukę. Że, także i w obrazie, sprawa najistotniejsza pozostaje to, co malarz ma do powiedzenia i do pokazania patrzacemu. Każdy artysta — mówi pan Zdzisław Głowacki — jest kontynuatorem tradycji, każdy pokazuje pewne określone treści, pewne określone wzorów. Powtarza ciągle na nowo. Leczą sa to treści i wzory wzbogacone o wiedzę i doświadczenia współczesne. Niemożliwe jest malowanie obrazów tak, jak je malowali malarze średniowieczni, czy malarze baroku. Niemożliwe, bo nasza wiedza, nasze doświadczenia są inne. Dlatego ucząc malarstwa, nie ucze dosłownego koniowania. Praca kopisty jest bezużyteczna. Ucząc,



Skrupuly? Wyrzuty sumienia? O co? O 20 czy 50 groszy? Przecież ekspedientka wie, że klient nie ma jej tego za złe, że ją rozumie, że to tylko ostrożność, obawa przed mankiem... Zaczyna się jednak lek, obawa że ktoś kiedyś przyłapie... Straci się wtedy posadę, tę w pocie czoła wypracowaną pensję i tych kilka złotych dodatku „za ostrożność”. Ze strachu ludzie już wiele rzeczy robili. Tutaj najprostszą drogą — poszukać sobie protektorów. Im wyżej, tym lepiej. Ale też — im wyżej, tym drożej! A skąd na to wziąć? Proście i

przekazuje wiedzę o technice, rozwoju widzenia, problematyce, studenci powtarzają sposoby, powtarzają bogactwo o to wszystko, co wiecie dzisiaj. W gruncie rzeczy staram się nauczać myślenia o tradycji i wyciągnięcia z niej konsekwencji”.

Zdzisław Głowacki — malarz, to tylko jedna strona działalności artysty. Druga, to praca pedagogiczna, to obowiązki prorektora do spraw nauki w Państwowej Wyższej Szkole Plastycznej. Dla porządku dodajmy, że prorektor Szkoły znajduje się nie tylko malarstwem. W jego pracowni można obejrzeć szereg interesujących drzeworytów i prac graficznych, a także obrazy żony, wnuczki i córki malarzy pani Jadwigi Cieleckiej-Głowackiej. A w domu państwa Głowackich przy ulicy Pabianickiej w tajemniczy sposób też zobaczycie obrazy syna, Łukasza, malującego na sposób zarówno mamy jak i taty. Choć, powiedzmy to szczerze, malarstwo abstrakcyjne ma w nim gorętszego wyznawcę. Ród Głowackich od trzech pokoleń mieszka w Łodzi dobrze wprowadzony w sprawy tego miasta. Sam pan Zdzisław jako uczeń Państwowego Gimnazjum im. Kopernika biegał do Muzeum Sztuki, które mieściło się wówczas w oficynie przy ulicy Piotrkowskiej 91. W Galerii Sztuki wystawiali przed wojną Cybis, Wasowicz, Kulisywicz, ale i Styka i Kossakowie. Grupa „art” i „Ryngraf”. Można byłoby w Łodzi zobaczyć wszystko co w Polsce było do obejrzenia, od koni Kossaka po Strzebińskiego. W chwili wybuchu wojny pan prorektor miał ukończony kurs ogólny — tak to się nazywało — na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. A to była najsłynniejsza w Polsce Akademia. Profesorami byli tam tacy malarze jak Mehoffer, Pautsch, Weiss, Pieńkowski. A po kursie ogólnym studiowało się jeszcze przez trzy lata w pracowni któregoś ze znakomych profesorów. Pan Zdzisław jest uczniem świetnej malarki Rudzkiej-Cybisowej, w której pracowni podjął po wojnie studia malarskie na tejże, krakowskiej Alma Mater.

— Wybrałem malarstwo myśląc, że będę to robił, a nie, że z tego będę żył. Mam taki prawdziwy zawód, je-

oczywiście. Tylko, że tu już skończyła się ostrożność, a zaczął się system, zaczęło się — nazwijmy to po prostu — złodziejstwo. Mało kto potrafi uświadomić sobie ten moment, w którym stał się złodziejem.

Ciekawe bywają czasem wywody ekspedientek przyłapanych na nadużyciach. Jedną z nich, po podpisaniu protokołu, w którym przyznawała się do popełnionych oszustw, wiedząc już, że będzie za nie ukarana, tak tłumaczyła się przed inspektorem PIH: — Jak widzę, że kto biednie ubrany, albo kupuje naj-

szerszym, niż jest to możliwe na płótnie, znaczeniu. To, co jest dla współczesnego malarza problemem bardzo bolesnym tam zostaje rozwiązane. Tam znajdujemy bowiem odbiorcę. Sztuka adresowana daje kolosalną satysfakcję. Można bowiem sprawdzić siebie, Oddziaływać. Nie ma tej próżni, w jaką wpada namalowany obraz”.

Pan Głowacki jest autorem kompozycji tasiemkowej w sklepie „Len Polski”, wnętrza kawiarni na Widzewie, plaskorzeźb polichromowanych znajdujących się na dwóch Szkołach Tysiąclecia na ul. Pojezierskiej i w Pabianicach.

„Maluję prawie codziennie po kilka godzin, wiele czasu zabierają mi prace w Szkole. Jestem oczywiście, człowiekiem bardzo zajęтым. Lubię pracę dydaktyczną i kontakty z młodzieżą. Mam, rzecz jasna, swoich uczniów, ale nie wiem, czy mogę powiedzieć, że mam swoją szkołę. Walczę przeciw z kopistami. Powiedzmy to tak, próbuję pomóc moim uczniom w odnalezieniu własnej indywidualności, w odnalezieniu drogi do wypowiedzenia siebie. Wiem przecież, że potem, taka jest zwykła kolej rzeczy, oni będą pomagali innym. Będą też ze mną walczyli. Uzdol-

nieni uczniowie bardzo rzadko pozostają wierni”.

Niewierni uczniowie Zdzisława Głowackiego chętnie jednak przyznają się do swego nauczyciela. Wystarczy porozmawiać z Krystynem Zielińskim, Ireneuszem Pierzgałskim, Andrzejem Lobo-dzińskim, żeby się o tym przekonać. Malują oni rzeczywiście inaczej — już inaczej — niż profesor, z którego pracowni wyszli. Ale też właśnie ta ich inność może być, jak myślę, powodem dumy profesora.

CO w terenie?

Kolo Przyjaciół Biblioteki w Łowiczu prowadziła działalność w zakresie upowszechniania kultury. Liczne spotkania z autorami, wieczornice literackie, dyskusje nad interesującymi książkami zdobyły sobie wśród mieszkańców miasta rangę imprez wartych uczestniczenia. Na przykład ostatnio członkowie Kola wysłuchali interesującego odczytu prof. Romana Kaczmarska na temat dzieła, Józefu teatralnego w Łowiczu.

Ciekawą innowacją w dotychczasowym systemie szkolenia kierowników amatorskich zespołów teatralnych wprowadziła Powiatowa Poradnia Instrukcyjno-Metodyczna w Brzezinach. Comiesięczne seminarium, przewidziane do tej pory w lokalu Poradni, przeniesione będą do poszczególnych terenowych placówek, które prowadzą zespoły teatralne. Można więc będzie polatwić zajęcia z hospitacją pracy zespołu, co niewątpliwie przyczyni się do większego „upraktycznienia” nauki oraz polepszenia zdobytych doświadczeń. Pierwsze takie zmodernizowane seminarium odbyło się 21 kwietnia w Niewiadowie, a zespół z Chorzecina zaprezentował uczestnikom własnego repertuaru „Wesele Złotocieli”. Może inne poradnie powiatowe wezmą pod uwagę propozycję Brzezin?

W Zdunskiej Woli odbywały się w niedziele rejonowe eliminacje ogłoszone przez KW ZMS i Wjdz. Kultury Prez. WRN konkurs zespołów estradowych i solistów z repertuarem współczesnym. W przeddzień uświetlił udział zespoły młodzieżowe z Sieradza, Łasku, Zdunskiej Woli i Wielunia.

będzie szukał: Kwalifikacje jej czynu znajdzie w Kodeksie Karnym i w myśl tego Kodeksu osądzi: jest złodziejką! I jeszcze prawdopodobnie, w uzasadnieniu wyroku umotywuje zastrzeżenie kary „ze względu na nagminność tego rodzaju przestępstw”.

Czy można za 55 groszy wystawić świadectwo nieuczciwości? Czy to nie jest przypadkiem tylko świadectwo ostrożności? Ile z tych 77 osób „ukaranych administracyjnie” było ostrożnych, a ile nieuczciwych?

BOLESŁAW LESMAN

Mieszanka

FILMOWA

TERESA GAJDEROWICZ

PRZYJEMNA GODZINA

Tym razem przedstawiamy Czytelnikom nowy film produkcji polskiej pt. „Godzina pasowej róży”, a czynimy to z podwójną przyjemnością, jako że jest to komedia i to udana. Zrealizowała film zna na już współautorka kapitalnej krótkometrażówki pt. „Zmiana warty” oraz — jednej z bardziej udanych komedii pt. „Sześciu Antoni” — Halina Bielinska. Pomysł, na którym opiera się fabuła i związane z nią konflikty, nie jest oryginalny, bo z podobnym zetknęliśmy się np. w „Pięknościach nocy” R. Claire’a, gdzie również oglądaliśmy wędrowniki w czasie. Został on zaczerpnięty z po-

wieści Marii Krüger pod tym samym tytułem, a cały film jest adaptacją książki. Na przykładzie „Godziny pasowej róży” istotniejszym wydaje się jednak ogólny schemat, a wpisany w ten szereg drobniejszych pomysłów i szczegółów, układających się w logiczny łańcuch wypadków, które zacinają w dwóch — ogólnie rzecz biorąc — płaszczyznach czasowych. To ostatnie wskazuje, iż mamy do czynienia z gatunkiem filmu fantastycznego i jednocześnie z komedią, połączenie bowiem jednym węzłem dramaturgicznym realiów z różnych epok daje możliwości wielu zderzeń humorystycznych. Chodzi jedynie o dobranie i powiązanie z sobą szczegółów w ten sposób, by kontrast między epokami, był wystarczająco silny, co decyduje o powstaniu żądanego efektu komizmu i co jednocześnie stanowi o powodzeniu całego pomysłu. Trzeba przyznać, że współczesność, w której została osadzona akcja części wstępnej i końcowej, czyli ramy, oraz epoka naszych pradziadków, w której dokonują się zdarzenia części retrospektywnej, dają szerokie pole do popisu i stanowią nader wliczony temat do tego rodzaju kon-

ceptów realizatorskich nie leżało stworzenie satyry na naszą, ani na tamtą rzeczywistość, a jedynie na zasadzie analogii pewnych szczegółów istotnych dla jednej i drugiej, ukazanie szalonej różnicy, jaka powstała w poglądach na sprawy zasadnicze dla życia jednostki, rodziny, społeczeństwa. Porównania tego realizatorka dokonuje w sposób jak najbardziej obiektywny, bynajmniej nie tylko z pozycji człowieka lat sześćdziesiątych XX stulecia, człowieka przyzwyczajonego do życia upływającego w ciągłym pośpiechu i wielkomięjskim zgiełku, życia, którego znaniem jest wyjść z czasem. Z cieniem malej złośliwości pokazuje, do czego może to prowadzić, a jednocześnie z odrobina filozoficznej zadumy i refleksji każe obejrzeć się wstecz, by zaniechawszy ciągłego pośpiechu odnaleźć się w tamtych czasach i dojść do wniosku, że człowiek — mimo wszystko — pozostaje ten sam, z tymi samymi wadami i przy miotami, ujętymi jedynie w inny kontekst atrybutów towarzyszących w otaczającej go rzeczywistości. Każde jedno noczenie zastanowić się, czy czasem w owym pośpiechu nie minęła nie zauważona, jak sekki innych, „godzina pasowej róży”, godzina szczęścia, która musi stać się udziałem każdego człowieka, bez względu na epokę, w jakiej żyje.

W sumie film ogląda się z niekłamana satysfakcją, znajdującą pokrycie w bezbłędnej realizacji, na którą składa się interesująca koncepcja dramaturgiczna, podkreślona przez dobre tempo, właściwe wykorzystanie szerokiego ekranu, zreżymowane napisane dla logi, stanowiące jedną z mocniejszych stron filmu.

Nie sposób pominąć jeszcze jednej z nich, tzn. gry aktorskiej. Tu należy wymienić odwrócić głównej roli — E. Czyżewską, której Anna w sposób zręczny i zabawny demonstruje nieprawdopodobnie przygody współczesnej dziewczyny w „tysiąc osiem set którymś” roku. Gra pozostałej części zespołu aktorskiego jest wyrównana i stanowi odpowiedź na rolę głównej bohaterki.

„Godzina pasowej róży” z przyjemnością witamy na naszych ekranach. Wyrażamy również nadzieję, że zapoczątkuje dobrą passę naszej twórczości w dziedzinie komedii filmowej, dzięki czemu za dwa, trzy lata będziemy mogli być nie tylko organizatorami Międzynarodowego Festiwalu Komedii Filmowych, lecz również godnie na nim wystąpić.

MARIA KORNAŃKOWSKA

Do kogo ta mowa?

Film „Czerwone berety” reżyserii Pawła Komorowskiego przypomina szkolne wypracowanie na zadany temat. Wypracowanie ucznia, który opanował wprawdzie, i to zupełnie niezłe, reguły gramatyki i ortografii, ale na ów zadany przez „pana” temat nie ma absolutnie nic do powiedzenia. I wypróbowanym uczniowskim obyczajem ucieka się do różnych bryków, z których jeszcze dziadek jego mądrość swą czerpał. Tak to skarbnica myśli przeważnie, jak łatwo odgadnąć „złoty” przechodzi z pokolenia na pokolenie. Nic zatem dziwnego, że par excellence „nowoczesna” opowieść o rycerzach przetrzeźni — komandosach dla nudzenia przypomina wzniosła i budujące historie z życia młodych panienek z dobrego domu, zgrabnie piórkiem nieodżałowanej pani Czarskiej opisane. Niech nas nie mylą akcesoria spod znaku Marsa. Ich rola jest doprawdy drugorzędna. Nawet modne ostatnio w szerokich kołach naszego społeczeństwa tzw. trudne dzie ciństwo do odkryć najświeższej daty nie należy (vide

wspomniana już pani Czarska). Jak widać przy złośliwych intencjach od Makarenki do Czarskiej droga niedaleka.

„Czerwone berety” dostarczą jednak widzowi wiele godziwej rozrywki i osobistej satysfakcji. Cóż to bowiem za frajda dla biednego szarego człowieka, cóż to za kompensacja różnych zahamowań i kompleksów się do dokładności do pół sekundy przewidzieć wszy-

Mieszanka Filmowa

sko co się wydarzy na ekranie. Żadnych niespodzianek, żadnych odchyśleń. Wszystko jak po „maśle” mknie ku „najwłaściwemu z możliwych rozwiązań”. Nawet na obliczoną na wielkie „suspense” scenę salwowania z napowietrznych oparów nieszczęsnego komandosa, jako żywo, nikt się nie da nabrać. Wszyscy świetnie wiedzą jak ona się zakończy. „Znacie to? Znamy! No to posłuchajcie!” Stare ale zawsze żywotne credo artystyczne pana Jowialskiego świeci jak zwykle niezaprzeczalne triumfy. Natomiast sekwencja pożaru lasu i ratowania ciewinnych dziatka przez walecznych żołnierzy budzi podziw

Mieszanka Filmowa

dla inwencji i zimnej krwi reżysera, który wśród szalejącego żywiołu nie zapomniał przodkowi urodziwej wychowawczyń w efektywnej kostium plażowy. Zresztą pozwól sobie powstrzymać się od gruntowniejszej analizy filmu, którego nie

Mieszanka Filmowa

ratują ani dobre zdjęcia Krzysztofa Winiewicza, ani parę efektywnych scen zreżymowanych przez reżysera zrealizowanych. W „Czerwonych beretach” nic się kupy nie trzyma: ani dramaturgia, ani psychologia, ani problem.

I w tym miejscu nie sposób nie zadać pytania ogólnej natury. Skoro istnieje zbiorowe i ponoć kompetentne ciało zatwierdzające scenariusze kierowane do produkcji, to dlaczego zmuszeni jesteśmy oglądać filmy w rodzaju „Mężczyzna na wyspie”, „Rodziny Mielcarzków” lub „Czerwonych beretów”. Dlaczego karmi się nas prymitywizmem, banałami, grafomania? Normalnie prosperujący przemysł filmowy — produkuje filmy albo dla szerokiej publiczności (tzw. filmy komercyjne) albo dla krytyki i „konserwatorów” (tzw. filmy artystyczne). A u nas? U nas krytyka psioczy a publiczność z zasady unika wytworów rodzimego kinematografii, ani artystycznych, ani komercyjnych, po prostu nudnych. Po co więc się robi te filmy? Dla kogo? Do kogo właściwie ta mowa, chciałoby się zapytać.

Czy nie stać nas na poświęcenie tematów leżących na ulicy, tematów ostrych, angażujących emocjonalnie i intelektualnie, tak jak znakomity film Hasa „Jak być kołchaną?”. Czy nie stać nas na świeżość odkrywczości spojrzenia, tak fascynująca w nowym filmie Jowialskiego świeci jak zwykle niezaprzeczalne triumfy. Natomiast sekwencja pożaru lasu i ratowania ciewinnych dziatka przez walecznych żołnierzy budzi podziw

TELEWIZJA

SZTUKI TELEWIZYJNE I ANTYTELEWIZYJNE

„Kubusia Fatalistę” według Diderota — oddinek pierwszy — przedstawił nam w swojej adaptacji oraz reżyserii Jerzy Gruza (17. IV). Mamy więc przed sobą w perspektywie kilku najbliższych tygodni telewizyjną opowieść teatralną, która będzie nas bawić przegadaniem swoich bohaterów: Kubusia i jego pana, (J. Matyjaszek i G. Holoubek). Myślę jednak, że więcej niż tylko bawić Jerzy Gruza jest — jak wykazała jego telewizyjna praktyka — nie tylko

doskonałym reżyserem, czującym trudną specyfikę teatru telewizyjnego, lecz ponadto inteligentnym adaptatorem. Przypomnieć tutaj należy poprzednią cykliczną opowieść Gruza — „Dobranoc, Tato”, która w podtytułach nosiła charakterystyczne uzupełnienie: „Dobranoc, Tato” — czyli rozmowy nieco filozoficzne. Analogia z „Kubusiem” występuje wyraźna. Znowu bierzemy udział w rozmowach nieco filozoficznych, tym razem bohaterów słynnej powieści Di-

derota. „Jak się spotkali? — Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali? — Na co wam ta wiadomość? — Skąd przybyli? — Z najbliższego mieszcza. — Dokąd dążyli? — Albo kto wie, dokąd dąży?” — tak się zaczyna historia Kubusia Fatalisty i jego pana. — A jak się skończy? — Zobaczymy. Mamy za sobą dopiero pierwszy odcinek „Kubusia”, nowych rozmówek nieco filozoficznych, lecz już na tej podstawie można śmiało zaryzykować twierdzenie, że osiemnastowieczny Diderot jest autorem wyjątkowo telewizyjnym. Czyja to zasługa? — Nie ma dwóch zdań, że re-

lewizyjny intrygująca akcja, ruch, dynamikę. Gruza jest ze wszystkich dotychczasowych reżyserów telewizyjnych najbardziej wszechstronnym i — co ważniejsze — najbardziej równym twórcą. Nawet „Kobry” te dwie najlepsze, jakimi może poszczycić się nasza telewizja „Gasnący płomień” oraz „Rozkoszne przedpołudnie” są zasługą talentu i doświadczenia reżysera Jerzego Gruzy. Nawet stara ramolka Wojciecha Rapackiego — „Romans pani majstrowej”, nadana w niedzielę (21. IV), dzięki inteligentnej adaptacji i zręcznej reżyserii stała się bezpretensjonalną, naturalną — lecz jakże uroczą w sumie komedią, przy której wszyscy telewizywiści z pewnością doskonale się ubawili.

Nie istnieje więc sztuka antytelewisyjna a w każdym razie nie należy zbyt tym pojęciem szafować — wszystkim zależy po prostu od jej reżyserii i adaptacji telewizyjnej. Reżyseria i adaptacja przesadzają o telewizyjności utworu. Klasycznym przykładem nie udanej roboty telewizyjnej jest ostatni spektakl Małego Studia Literackiego, nadany 19. IV — „Sąd” według opowiadania W. Tendriakowa. Za „telewisyjnością” tego znanego opowiadania radzieckiego pisarza świadczyła sensacyjna kanwa utworu, która dla autora była jednakże tylko pretekstem, wykorzystanym w celu bardziej analitycznego przedstawienia ludzkich dramatów i rozpatrzenia ich w kategoriach psychologiczno-społecznych. Prawdopodobnie — analogiczne założenie uczynił również reżyser i adaptator telewizyjnego spektaklu, Andrzej Konie. Niestety, w telewizji nie wyszedł ani wątek sensacyjno-

kryminalny; ani ten drugi — podstawowy — konflikty postaw ludzkich. Spektakl był nudny, rozwickły; osoba narratora, powtarzająca długie partie prozy Tendriakowa rozrywała widowisko na części; narrator wręcz nachalnie wtracał się do akcji prowadzonej zresztą wyjątkowo nieudolnie, z opowiadania Tendriakowa do telewizji przedostały się jakieś żalostne

szczęśli, nie powiazane ze sobą w jedną całość, zupełnie pozabawione koncepcji dramaturgicznej. Pretensjonalnym i sztucznym okazał się chwyt „telewiszora w telewizorze”, a w efekcie spektakl Konie lepiej nadawałby się na słuchowisko radiowe, niż na telewizyjny spektakl teatralny.

KOWALSKI



Bez słów.



Urszula Modrzyńska i Ludwik Benoit w sztuce „Ten, który dotrzymuje słowa”.
Fot. J. Neugebauer

Państwowy Teatr Nowy w poszukiwaniu ciekawego i wartościowego repertuaru sięgnął po sztukę brazylijskiego pisarza Alfredo Dias Gomesa: „Ten, który dotrzymuje słowa”. Sztuka ta teatr kontynuuje linię laicyzacji myślenia swoich widzów; przejawem tej działalności było i zostanie w naszej pamięci świetne przedstawienie „Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”.

Założeniem Gomesa, jak wynika z jego słowa wstępne do sztuki, było stworzenie utworu o charakterze uniwersalnym, opartym na odwiecznym konflikcie jednostki z władzą. Gomes pisze: „Pomyślnie napisana sztuka zrodziła się we mnie przede wszystkim ze świadomości, że jestem... pozbawiony siły do korzystania z wolności, którą mi w zasadzie przyznano. „Ten, który dotrzymuje słowa” jest niejako wynikiem walki, jaką ja prowadzę ze społeczeństwem o prawo wyboru własnej drogi, a nie tej którą społeczeństwo mi narzuca. Pisalem ten dramat pod wpływem rozterki wewnętrznej, która dreczy mnie nieustannie, ponieważ wiem, że za egzystencję moją muszę płacić prostytucją całkowitą lub częściową. Ze-Osiłek zdobywa się na to, co ja pragnąłbym uczynić; umie-

ra, żeby nie ustąpić... Każdy z nas, tak jak Ze-Osiłek, ma swoje długi do spłacenia. Bogu, Diabłu, czy jakiejś idei”.

WANDA KARCZEWSKA

„Ten, który dotrzymuje słowa”

Niebezpieczne są wszelkie wypowiedzi pisarskie na temat własnych dzieł, odsłaniające założenia i zamierzenia autorskie. Prowokują do konfrontacji założeń z osiągnięciami. Gomes wpisał swój dramat pisarza, dramat moralny jednostki w starciu raczej z władzą niż ze społeczeństwem (bo to społeczeństwo jest podzielone w tym dramacie, a ksiądz — jak sam autor powiada — czyli kościół współdziałając z władzą administracyjną, jest częścią tej władzy) w barwną, egzotyczną dla nas sztukę, w której prosty bahijski chłop, Ze-Osiłek, złożony świętej Barbarze obietnicę zanieśienia krzyża z domu przed jej ołtarz, w zamian

za uzdrowienie swego osła, Antonia, popada w konflikt z księdzem Olavo. Ksiądz nie pozwala Ze-Osiłkowi na spełnienie tej obietnicy, zamykając przed nim drzwi kościoła, ponieważ po pierwsze — jak twierdzi — nie godzi się powtarzać drogi Chrystusowej dla ratowania osła, a przede wszystkim dlatego, że ślub ten Ze-Osiłek złożył nie w kościele katolickim, będąc katolikiem, lecz podczas pogańskiego święta, makumby, związanego z uroczystościami, obchodzonymi ku czci afrykańskiego bóstwa Iansan, co jest wyrazem synkretyzmu religijnego, specyficznego zjawiska u stonkonośników niedawnych wyznawców wiary chrześcijańskiej, w których pozostało jeszcze wiele elementów wierzeń pogańskich.

Konflikt Ze-Osiłka wyrasta z tego specyficznego zjawiska i to wydaje mi się jedną z przyczyn zawężenia jego wymowy. Ale można sobie powiedzieć, że ten spór z księdzem Olavo, to tylko załączek szerszego konfliktu, który w miarę rozwijania się akcji obrasta w zdarzenia, i obejmuje coraz dalsze kręgi środowiska i społeczności. Wkrótce po stronie księdza Olavo stają przedstawiciele wyższej hierarchii kościelnej, prałat i biskup, potem władza administracyjna w postaci policjanta, tajniaka i komisarza policji. Ze-Osiłek będzie samotny. Zdradzi go żona, Roza, którą uwidzie popospolity alfons, Lulus, a ci, którzy rzekomo staną przy Ze-Osiłku, okażą się ludźmi interesownymi (kupiec, dziennikarz), popierającymi go dla własnych korzyści. Lud, prosty, lud obserwujący zrazu nieśmiało walkę Ze-Osiłka z silnymi przeciwnikami stanie przy nim, dopiero, gdy mu zagrozi utrata wolności, gdy Ze-Osiłek wreszcie nieżywy. Wtedy lud dokona triumfalnego wniesienia martwego bo-

nostkowe, łączenia planu realistycznego z planem metaforycznym jest w ogóle niemożliwe, natomiast jako wadliwym jest w ogóle niemają sztuka pisarska, będąca warunkiem sine qua non uniwersalnej wymowy utworu literackiego, jaką na przykład posiada klasyczna pod tym względem „Antygona”, czy „Święta Joanna”. Wydaje mi się, że — będąc już mówiąc o samym literackim tekście, ale o jego scenicznym wyrazie także — głównym posłaniem dramatu Gomesa brak jest ich własnych pełnych racji; brak mi też ich pełnego myślowego i emocjonalnego zaangażowania się w swoją rację, pełnej świadomości czynów i skutków. Tych racji zresztą po trosze odmówił głównym postaciom sam autor, czyniąc te postacie właśnie takimi, jakimi są. Ksiądz Olavo jest w tekście z miejsca napaśliwie podejrzliwy; interpretacja sceniczna tej postaci, owa parodia namaszczonego, kandydackiego tonu jeszcze bardziej osłabia artystyczną prawdę tej nieco papierowej u Gomesa postaci i odbiera dramatowi wagę, jaką autor chciał mu nadać. Podobnie rzecz ma się z Ze-Osiłkiem, którego cechuje raczej bezradny, ciemny, tępy chłopięcy upór, aniżeli świadomość własnej postawy czy fanatyczne przekonanie o jej słuszności z jakim — jeśli to ma być ten dramt postaw moralnych o uniwersalnej wymowie — winien by Ze-Osiłek bronić swego stanowiska.

Sztuka w ogóle wydaje mi się trudna do realizacji, pomijając już nawet sprawę dramatyzacji tekstu: w swoim brzmieniu tekstowym wydaje się być ona dopiero interesującym materiałem na spektakl, czy film, który istotnie, podobno z dużym powodzeniem, z niej zrobiono. Autor jakby chciał od razu powiedzieć zbyt wiele, nie uhierarchizował kon-

fliktów; główny temat, warty tekstowo, rozpięta się w bardzo szerokim, niemal po epicku potraktowanym tle społeczno-obywatelskim. Dla mnie osobliwie najciekawszy jest konflikt psychologiczny Rozy, który rozsadza sztukę i swoim napięciem przesłania zasadniczy konflikt, dla którego w istocie Gomes swą sztukę napisał. Ale być może zawyżając to rozbudowanie sceny Lulusa i Rozy i pełna ekspresji gra Modrzyńskiej i Kubickiego.

Wydaje mi się, że reżyser J. Gruda, mający za swoich koncie wiele pięknych osiągnięć teatralnych, w danym wypadku, z racji swego drugiego zawodu, li-

dnolitej koncepcji. Najbardziej rzuca się to na przykładzie roli Lulusa. Świetny w rysunku, zwłaszcza w początkowych scenach Kubicki, potem przerysowywał swoją rolę w niemal estradowy sposób, jakiś rozgwieżdżony i roztańczony, swoimi zbyt wyekspozowanymi scenami w środkowej części sztuki, wręcz rozwała jej dramatyczne napięcie. Rodzajowe sceny tego pięknego alfonsa, Lulusa (i kapusia), prostytutki Marli oraz Rozy, zbyt charakterystyczne, naturalistyczne, nie pełnią wcale roli służebnej w stosunku do naczelnego konfliktu sztuki, odrywając w ogóle uwagę od niego. Na skutek

zbyt mocnego wyakcentowania ich zanika groza i drażliwość zasadniczej sytuacji, zanika napięcie i dynamizm głównego konfliktu. Tego dynamizmu zresztą najbardziej brak tam, gdzie go najbardziej trzeba, przede wszystkim w budowie postaci Ze-Osiłka. Narastać zaczyna on bardzo późno, dopiero w końcowych scenach trzeciego aktu, gdy do głosu dochodzi zbrodnia. Spektakl podnoszą dopiero, nadając właściwą wagę dziełu Gomesa — scena starcia przed kościołem, scena śmierci, zwycięstwo ludowej sprawiedliwości, scena wniesienia zabitego przez lud bahijski na krzyżu do kościoła, budząc żal, że właśnie ten tragiczny finał nie stał się podstawą koncepcji całego przedstawienia, nie rzutował wstecz na ujęcie ról aktorskich i rozegranie poszczególnych sytuacji i scen.

Oczywiście, rozpatrując rolę aktorską niezależnie od tekstu literackiego, należy podkreślić szereg jędrnych, soczystych postaci jak Horawianki, Baera, Kubickiego, Roza — Modrzyńskiej, może zbyt monotonnie burkliwa, miała bardzo przekonywające sceny ulegania urokowi demonicznego Lulusia. Ludwik Benoit dzięki swemu charakterystycznemu talentowi i specyficznym tzw. warunkom życiowym zbudował sobie logiczną, samą dla siebie, lecz najmniej „siedzącą” w tej sztuce, rolę powolnego, naiwnego, tępego, niewiele rozumiejącego swoją sytuację chłopca. Interesująca Krystyna Feldman, może tylko za mało drapieżna w swej roli dewotki, dyskusyjny w koncepcji, ale konsekwentny w zamierzonej robocie aktorskiej ksiądz, wielce utalentowanego Minca, bardzo przekonujący, wytrzymany w tonie zakrywanego Skolimowskiego, prawdziwy (aż się nieprzejmnie robi) tajniak Zatorskiego, dopełniają listy ciekawych ról w tym spektaklu.

Na marginesie nie mogę nie zwrócić uwagi na jedną z niesmacznych sytuacji, jaką jest scena, kiedy, uoducy Roze alfons Lulus kładzie się na krzyżu. Wymowa tej sceny jest sprzeczna z zasadami tolerancji i poszanowania cudzych przekonań, o co przecież walczy i Gomes, i teatr. Wydaje mi się, że ta bezceremonialność do znaków i symbolów jakiegokolwiek z wiar (czy będzie to protestantyzm, czy judaizm) wywołuje skutek przeciwny zamierzeniom. Po co więc?

Spektakl sztuki Gomesa „Ten, który dotrzymuje słowa”, przy całej swojej dyskusyjności i nierównościach, jest propozycją repertuarową, która na pewno wywoła duże zainteresowanie i skłoni tak widzów jak i ludzi związanych bliżej z warsztatem teatralnym do wielu przemysleń. A to już немало.

MICHAŁ ORLICZ

10 lat konkursów recytatorskich

O KULTURĘ ŻYWEGO SŁOWA (II)

Zagadnienie nowoczesności, mającej obalić przestarzałe formy recytacji pobudziło ostatnio kilku pisarzy i krytyków do trzeciego przesłuchania procesów, obrazujących kształtowanie się nowoczesności wyrazu na obszarze

różnych gałęzi sztuki. Znany esaista Artur Sandauer uważa, że „nowoczesność jakiegokolwiek utworu, to jego przynależność do pewnego prądu; nowatorstwo to określenie jego rangi”. „Nowoczesność — we dług Sandauera — „to kierunek artystyczny, analogiczny do romantyzmu czy symbolizmu, posiadający swe charakterystyczne wyróżniki. Tak np. plastykę nowoczesna cechuje zmniejszony stopień figuratywności; powieść — „samotematyczność”, oraz zerwa

nie z relacją chronologiczną; poezję — wyrzeczenie się regularnej wersyfikacji, odległe przenośnie, używanie słów nie tylko w logicznym, lecz także skojarzeniowym znaczeniu”.

Jak jednak pojmować nowoczesność słowa mówionego? Recytacja odrzucając patos, koturnowość słowa, sztampe estetyzacji uzewnętrznionej dźwięcznością melodyki głosu — wypukła za to właściwymi barwami intonacji plastrykę zawartości intelektualnej i prawdy artystycznej utworu, uczuciową podbudowę pisanej wypowiedzi autora. I oto jesteśmy chyba w centrum zagadnienia. Intelaktywnie i emocjonalnie zaangażowany recytator, jeżeli po trafi zademonstrować swoją autonomię świadomie użytych środkami aktywności wewnętrznej i sprawności technicznej, staje się recytatorem nowoczesnym. Albowiem nowoczesność jego żyje w swojej sferze rzeczywistości artystycznej, która nie wytycza żadnej linii demarkacyjnej między przeszłością a teraźniejszością, między konwencją tradycyjną a konwencją dzisiejszą. Konwencja dawna i dzisiejsza żądają precyzyjnej rzeźby słowa mówionego, ekspresji intelektualnej, i uczuciowej, apeluja do wzruszenia i wyobraźni słuchacza. Taka jest przy tym potęga słowa mówionego, że może narzucić słuchaczowi widzenie Norwidowej „cyrkulacji piękna” i w treści i w

formie, o ile naturalnie piękno takie wypływa z ducha utworu recytowanego.

Nie bądzmy więc natęczyli i nie żądajmy definicji. Wątpliwie zresztą, aby można było ściśle i bezbłędnie zdefiniować nowoczesność w dyscyplinie recytacji. Zresztą sprawa nowoczesności nie jest celem niniejszego referatu, raczej tylko marginesem naszych rozważań na tle wartościowania materiałów repertuarowych konkursu recytatorów.

Białoszewski, Grochowiak, Harasymowicz, Herbert, Kubicki, Różewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz budzą niewątpliwie szacunek dla swoich poszukiwań formalnych; ich postawę intelektualną i warsztat nowoczesny pętyki przagnęlibyśmy przybliżyć i przyswoić ruchowi żywego słowa; niestety, jednak repertuar recytatorów tkwi raczej w kleszczach myśli i formy dawnego pisarstwa. Za miast szukać żywego repertuaru towarzyszącego naszej współczesności, recytatorzy wola uprawiać galwanizację martwożywych utworów dawno przeterminowanych.

miejtność stworzenia szablonu jest oznaką genialności”.

Sztuka nowoczesnego recytatora powinna, moim zdaniem, zasłużyć się rozszerzeniem rezultatów myślowych i syntez artystycznych nowego pisarstwa. Obecowanie z twórczym pisarzem daje satysfakcję odkrywania jego przeżyć. Nie można dzisiaj, gdy na naszych oczach dojeżdża nowy świat postępu, kiedy tworzy się nowy styl i rytm współczesności, zaspinać się ciągle bezradnością kwalifikowania zaskakujących zjawisk literackich i estetycznych. Nie wypada trwać na pozycjach, oferujących łatwo zrozumiałe teksty, które zwalniają od trudności dociekań i poznawania nowych wartości. Chcemy mieć recytatorów twórczych, wykształconych, wrażliwych nie tylko na piękności formalne i łatwinny intelektualne, ale reagujących na każdy eksperyment w każdej dziedzinie sztuki. Po tropach eksperymentu można z biegiem czasu dotrzeć do bogactwa prawdy, która na razie wydaje się być nieuchwytna dla twórczości recytatorskiej.

Należałoby stworzyć atmosferę przychylnego współżycia recytatorów z młodym pokoleniem literackim, jeżeli prężny, rojujący wielkie nadzieje ruch amatorski ma być bojową awangardą w rozstrzygających rozgrywkach o utrwalenie klimatu ideowego i kultury artystycznej naszej współczesności.

str. 4 **odnotowy**

Dalszy ciąg na str. 7

Mieszkaniami można zabić jak siekierą

(Dalszy ciąg ze str. 1)

finansowa następnego reflektanta na mieszkanie — że obecni lokatorzy powinni się możliwie jak najszybciej wynieść z zajmowanych przez nich izb. Ich opór wywołuje gwałtowną replikę w postaci awantur i pijackich burd, a gdy to nie skutkuje — właściciel domu samowolnie i pod nieobecność lokatorów wybija do ich mieszkania dodatkowe drzwi robiąc z niego pokój przechodni. Nieustanne kłótnie

rad narodowych. I ci sami ludzie dodają: — Bardzo byśmy chcieli ten problem rozwiązać, ale jesteśmy na razie bezsilni. Wydziały lokalowe nie dysponują praktycznie żadnymi rezerwowymi zasobami izb mieszkalnych. A z drugiej strony nie ma miesiąca, by trzy, cztery osoby znajdujące się w takiej samej sytuacji jak Zofia N. czy też małżeństwo D. nie zgłaszały się do prezydiów rad narodowych z prośbą o możliwie najszybszą pomoc.

Ale — władze są bezradne.

Podnosząc problem, który zilustrowaliśmy przykładową tragiczną przeżył Zofii N. oraz młodego małżeństwa D. dotknęliśmy dwóch niejako sfer międzyludzkich konfliktów. Jedną z nich jest „źródło” — znana powszechnie nasza sytuacja mieszkaniowa. Wiadomo, że mimo ogromnych wysiłków inwestycyjnych proces „rozgęszczania” nadmiernie zaludnionych izb, przenoszenia ludzi z poddaszy i suterenu następuje nie tak jeszcze szybko, jakby to sobie wszyscy życzyli. Trudno, nawet w ciągu kilkunastu lat, nie można odrobić wszystkich społecznych zaniedbań, jakie narosły w latach przedwojennych oraz w okresie okupacji.

Czy jednak rzeczywiście możemy tylko bezradnie rozkładać ręce i przechodzić do porządku dziennego nad coraz to bardziej ostro rysującym się społecznym problemem?

Skutki takiego „machnięcia ręki” nie dają na siebie zbyt długo czekać. Owocują pod postacią tzw. „dziwnych rodzin”, które nie są już rodzinami, a które łączy jedynie wspólnota mieszkaniowa. W jednej izbie mieszka były małżonki, a istotnym dodatkiem tego dziwołagu są: aktualna żona i aktualny mąż. Egzystencja w takich

warunkach staje się aż nazbyt często przekleństwem. Znanie powiedzenie — „mieszkaniami można zabić jak siekierą” — nabiera wszelkich cech prawdopodobieństwa. Jesteśmy dalecy od pruderii, nie bronimy starych zasad tradycyjnie pojętego małżeństwa, czy też wspólnoty rodzinnej. Wydaje nam się jednak, że nazbyt skomplikowana „wspólnota”, w której izbie dwa „byłe małżeństwa”, przynosi o wiele więcej szkód społecznym, aniżeli z pozoru mogłoby się wydawać.

Ten stan rzeczy ma jeszcze swoje uboczne skutki w postaci olbrzymiego pola do popisu dla wszelkiego rodzaju hien mieszkaniowych, które oszukawczymi ofertami ludźmi znajdującymi się w takich warunkach. To jest pole do popisu dla różnego „prywatnego” pośrednictwa mieszkaniowego, dla uzys-

już przez nas problem winy i kary. Bywa i tak, bowiem prawo jak narazie dosyć jest bezradne w tej dziedzinie życia, że osoba w gruncie rzeczy winna jest przez suchy paragraf preferowana a nawet w rzeczywistości nagradzana. Paradoxs? Tak, ale również prawda. W przypadku historii Zofii N. jej były mąż, który nastawał na jej życie i dziecka — wrócił po odbyciu kary do

Do wydziałów lokalowych prezydiów dzielnicowych rad narodowych wpływa bardzo wiele wniosków o rozdzielenie „wspólnoty mieszkaniowej” byłych współmałżonków. Najczęstsze przypadki to zgłoszenia rozwiedzionych małżeństw, które zamieszkiwały w jednej izbie. W roku 1962 na dzielnicy „Górnej” było 26 takich zgłoszeń, na Bałutach 25, Widzewie — kilkanaście. W ciągu 3 miesięcy bieżącego roku do prezydiów dzielnicowych rad narodowych wpłynęło 15 podań w tej sprawie.

Statystyka Ministerstwa Sprawiedliwości podaje, że w roku 1960 rozwiodło się w Polsce 14,5 tys. małżeństw. W Łodzi wpływa rocznie do sądu około 1800 wniosków z prośbą o rozwód, z tego około 1000 małżeństw go otrzymuje. Na 1000 rozwodów ponad 60 proc. małżonków rozchodzi się z powodu alkoholizmu jednego z nich, 15 proc. uzyskuje rozwód z powodu maltretowania i znęcania się nad współmałżonkiem, 8 do 10 proc. rozwiedzionych przebywa w więzieniu odsiadując wyrok często wieloletniego więzienia.

kiwania krociowych zarobków z różnych machlojek i rzekomych „chodów” w urzędach, mogących przydzielić jakiś spokojniejszy kąt do życia.

Problem ten posiada także jeszcze jedno ukryte dno, a mianowicie sygnalizowany

mieszkania zajmowanego obecnie przez jego byłą rodzinę. Powrót gwarantuje mu prawo, Zofia N. wraz z małym dzieckiem, będzie musiała opuścić izbę, przebywanie pod wspólnym dachem z jej byłym mężem to nie tylko groźba awantury, pijackich burd, ale także groźba utraty życia.

Nie chcemy stawiać kropki nad i. Wydaje nam się że jest to problem niezwykle trudny, a nawet takie rozwiązania jak próby tworzenia specjalnych pokojów hotelowych dla ludzi znajdujących się w sytuacji Zofii N. lub też osób wracających po odbyciu kary z więzienia, nie są udanymi pomysłami. W ten przecież sposób jesteśmy już tylko o krok od tworzenia gett, w których będą mieszkali ludzie z tzw. przeszłością lub też członkowie rozbitych rodzin, ludzie w jakis sposób, przynajmniej psychicznie pokrzywdzeni i złamani. Rodzący się problem społeczny trzeba jednak rozwiązać. Nie można przecież tego robić metodą angielskiego plasterka. Istnieją już próby podjęcia takich rozstrzygnięć — choćby w dzielnicy Górnej, gdzie wygospodarowano chałupniczym sposobem około 20 izb mieszkalnych właśnie dla takich ludzi, jak Zofia N. Niestety, w innych dzielnicach naszego miasta, aż nazbyt często rozkłada się bezradnie ręce, petenci muszą długo czekać.

Życie nie może jednak czekać.

KRZYSZTOF POGORZELEC
ADAM LEWASZKIEWICZ

MICHAŁ SPRUSIŃSKI

POPOŁUDNIE

Już odleciały osy znad wina dzikiego
Jest czas, w którym dojrzewa zieleność
W jezioro leżą pierwsze liści cienie
I zniknął ptak w drzewa listowiu

Twój archipelag ciszy Tu w mchu embrowinie
tkwi nieruchoma fontanna strumienia
Daleko — niewidoczna spełnia się cieniowość
dróg — jakie w zachód poprowadzą teraz
Wciąż bliżej rudej barwie

Tak wszedłbyś w ten krajobraz
Ale go tu nie ma.

ONI ODESZLI

Oni odeszli w pomnik zamienieni
oni odeszli zamienieni w wapno
Zawsze dalecy w sztynność kolumnarzyków
ukrywający podstarzałe twarze

Pomiędzy głogi weszli między ciernie
zawsze natchnieni fryzowani zawsze
Koronki zólkite ukrywając w korę
z gestem znudzenia przyglądają jedwab

Nie pamiętają, że minęły sierpnie
a cień wrzosowisk już utracił barwę
Jeszcze czekają odpędzając mołe
czekają w śniegu twarze jak piwonie

Aż wróci błękit w poszarzałe mury
i znów gawoitem pieczęcie złamawczy
i dla muzyków suche bijąc brawa
wrócą figurki w woskowe theatrum.

EXODUS

I to jest tylko opowieści próba
— powrót Odysa szybko nie nastąpi
Otwarte ręką ciała zwierząt martwe
ptaki fosforem świecące w ciemności
żadne spojżenia ludzi wędrujących
są tylko próba — krajobrazu barwą
który otacza mało zpane miasto
ten obcy pokój tamten obraz szary

Przypomnieniem, krajny Haki
w którą odeszli zalamywać ręce
— to samotności mówią jest nauka.

I już nie trzeba dróg rozstajnych szukać
w cierniach mężczyźniwa na blasze gorącej
ni samobójstwa grubym tępyim nożem

Odys szedł z nimi Poprzez rękę i fosfor
Odys szedł z nimi — tylko krótkie słowa
— powrót Odysa szybko nie nastąpi.



informacje i zaczepki

Jeszcze jedna kłótnia z koleją? stała ekspozycja współczesnej plastyki. Tym razem Klub Dziennikarza rozpoczął cykl wystaw malarskich pod hasłem „Popatrzy i podyskutuj”. Jako pierwszy wystawił swe prace u dziennikarzy znany i naprawdę bardzo ciekawy (i bardzo „łódzki”) malarz Jerzy Krawczyk.

Do tytułów sportowo-gastronomicznych dopisujemy jeszcze jeden znaleziony niedawno w „Głosie”: „świąteczny rodzynek pil-

karski”. W swoim czasie była już „papryka pikarska”, potem „na gruzach dawnej świetności w oku krečila się Iza”. Ostatnio jednak dziennikarze sportowi przestali polisyżować i słuszenie.

23 fotografiów eksponowało swoje prace na jubileuszowej — dziesiątej — wystawie dorocznej Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego. Prace są na wysokim poziomie artystycznym, tematyka ciekawa, fotogramów „łódzkich” znaleźliśmy sporo. Warto dodać, że na wystawie debiutuje aż 11 młodych adeptów fotografii co jednak ani na jotę nie obniżyło poziomu. Dla ŁTF duże brawo i za interesujące prace i za troskę o „młode kadry”.

W pewnej recenzji przeczytaliśmy o losach Bernarda Szajnera, że „Ulco Wilcza” można przyjąć jako powieść psychologiczną bez wątpienia. Ale podkład psychologiczny przesłania często wrażenie realnego obrazu”. Jedno wydaje się bez wątpienia, to mianowicie, że pisanie o literaturze nie jest takie łatwe jak się pozornie wydaje.

Imponujące. Prawie dwa miliony godzin przepracował w ubiegłym roku rozdanie przy porządkowaniu i upiększaniu miasta. Ale informacja ta ma i drugą, mniej chwalebna stronę. Te dwa miliony godzin to udział niewiele ponad 300 tysięcy osób, czyli zaledwie jedna trzecia wszystkich mieszkańców Łodzi.

J. W.



Tajemnice

ULICY ZŁOCZYŃCÓW

Mineło kilka miesięcy od zakończenia wojny. Niedobitki hierarchii nazistowskiej skręcają się przed władzami alianckimi...

Koch zwrócił się do Axmanna. Niech pan mi opowie o prawdziwych wydarzeniach w bunkrze. Czy fuhrer ukrywał się czy też zginął? Axmann zawałał się. Koch zauważył rezerwę swego dawnego ucznia...

Wiadomość o tym wstrząsnęła schronem. Wszyscy zdali sobie sprawę, że nie ma dla nich żadnego ratunku. Niektórzy trzeźwiej myśleli liczyli jeszcze, że uda im się uciec samolotami...

ców stolicy. „Walczyciel, walczyciel do ostatniego żołnierza” — to jedno miał w odpowiedzi na prośby moje i innych, aby opuścić miasto i nie skazywać je na zagładę. Panicznie bał się Rosjan...

gdy Hitler leżał na pół przytomny i coś niezrozumiale bełkotał, rządy objął Martin Bormann, ostatni szef sztabu generał Krebs i generał Burgdorf. Bormann był na tyle przebiegły, że władzę rzekomo wykonywał w imieniu Hitlera...

Wreszcie udało nam się go przekonać. Bormann z Burgdorffem z radości odtańczyli taniec zwycięstwa. Bormann wysłał natychmiast dowódcę straży osobistej fuhrera SS obersturmbannfuhrera Franza Schedla do generała Weidlinga...

dzawać czy uda się do Doenitza, czy na południe do twierdzy alpejskiej lub po cichu połączy do Hiszpanii. Hitler zgodził się. Nie wzięto tylko pod uwagę czy oboźnicy chory Hitler i Goebbelsowie z małymi dziećmi będą mieli siły przedzierać się kanałami...

OPOWIEŚĆ AXMANNA



WIESŁAW JAZDZYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE Jest okupacja, rok 1943. Dwa przyjaciele uciekają z rodzinnego miasta. Grozi im bowiem aresztowanie, jak zresztą wszystkim uczestnikom polskiego ruchu oporu...

Ucałowali jej ręce. A jednak to jest królowa — pomyślał Justyn — królowa, która nigdy nie wróci do swoich ziem, to tylko dobrzy ludzie trzymają ją w niewiedomości...

— Za wasz pobyt w Zalesiu! Konrad grzał ręce przy kominku. — Widzę, że cię rozpiera ciekawość. Marek to straszny cynik, ale Michasię szanuje jak świętą...

— Dłuzszego mówisz, jeżeli? — Bo mam takie przeczucie, że pójdę na wojnę. Nie każdy wraca, kto wychodzi z pukawką polaować na człowieka...

— Tadzio ci to powiedział? — Jakbyś zgadł. I dodał, że cię ten marynarz nawróci, bo ty, według Tadzia, młociutki jesteś, a znowu Zbik Wielki nawraca przezwrotnie bykowcem...

— Madam jest jedyną kobietą, jaką mogłbym kochać. Zwróćcie uwagę na jej skondensowaną intymność. Wszystko co robi, co mówi jest niezwykle osobiste, jej własne. Nie umiem tego dobrze wyfluorować, ufam waszej inteligencji...



O KULTURĘ ŻYWEGO SŁOWA

Dokończenie ze str. 4

mógł się domyślić prawdy. Po zakończeniu tych ceremonii słyszałem, jak różnie komentowano sobie tę nieudaną mistyfikację.

W południe pozbyto się sobowtórow. „Załatwił” ich Bormann. Dwoch zastrzelił — pierwszy dostał kulę w plecy, drugiemu oddano z bliska strzał zmasakrował połowę twarzy — inni zostali otruci w czasie obiadu. Właściwie nie dziwiłoby się, gdyby Bormann zostawił sobowótora, a przez „omyłkę” otrul prawdziwego fuhrera. Ale był on mu jeszcze potrzebny.

Bormann i Goebbels kontynuowali wielką mistyfikację. Zawinięte w koce zwłoki dwóch sobowótrow zostały wyniesione do ogrodu i spalane. Wieczorem wystartowały samoloty, które jeszcze ocierały na autostradzie wschód — zachód. Polecieli w nich ludzie, którzy mieli rozgłosić o śmierci fuhrera, a śmierć była już rzeczywistością blisko. Ale teraz fuhrer jeszcze żył, o czym głosiły liczne telegramy wysłane do Doenitza i innych przywódców. Wypowiedzi udekinierów i sprzeczną z nimi treść telegramów, to był plan Goebbelsa, który miał wprowadzić chaos do umysłów zarówno Niemców, jak i wrogów.

Późnym wieczorem trzydziestego kwietnia Bormann znikł. Hitler wezwał Bormanna do siebie i okazało się, że nie ma go w bunkrze, jak również w podziemiach kancelarii Rzeszy. Hitler leżał na łożku i skwoyczał nicyzm o bity pies. Chciał popłynąć samobójstwem, płakał, że nigdy nie spodziewał się tego po Bormannie. Wzięłam na spytki wartowników na górce, którzy powiedzieli, że Bormann wyszedł do miasta. Ale Bormann wrócił po północy pierwszego maja. Ucieszonemu Hitlerowi oświadczył, że musiał zbadać jak faktycznie wygląda obrona kancelarii Rzeszy i zapoznać się z trasą ucieczki. Widać było, że nie jest zadowolony, iż odkryto jego nieobecność. Jego tłumaczenie wyglądało dość prawdopodobnie. Gdzie Bormann faktycznie był, co robił, pozostanie chyba na zawsze tajemnicą.

Przystąpiono do omówienia realizacji planu ucieczki. Wiedząc tam, na górce, chłodne powietrze nocno przywrócił Bormannowi zdrowy rozsądek. Podał mi, aby wysłać do Rosjan parlamentariuszy, celem omówienia warunków kapitulacji. Pozwo-

liłoby to wysondować plany Rosjan.

Od projektu do realizacji droga krótka, bo przecież Bormann, Krebs i Burgdorf faktycznie rzadzili w bunkrze. Około pierwszej w nocy generał Krebs, zapowiedziany uprzednio drogą radiową, udał się do rosyjskiego dowódcy ataku na Berlin, generała Czujkowa. Był on najbardziej odpowiednim parlamentariuszem. Przez długie lata Krebs pełnił przecież obowiązki attaché wojskowego Niemiec w Związku Radzieckim, mówił świetnie po rosyjsku i nigdy nie krył swoich sympatii dla Rosjan.

Nastąpiła godzina napiętego wyczekiwaniem powrotu Krebsa. General zjawił się po dwunastu godzinach. Według jego relacji Czujków przyjął go uprzejmie, ale zimno. Rosjanie nie chcieli nikogo wypuścić z bunkra. Czujków bał się zreszta na własną rękę decydować w tak ważnych sprawach. Połączył się

telefonicznie z dowódcą frontu marszałkiem Zukowem. On również nie chciał decydować. Powiedział, że jest żołnierzem, a polityka należy do dyplomatów. Stąd wyniki kilka zwłoka z powrotem Krebsa. O propozycjach niemieckich zawiadomiono Stalina. Z Moskwy nadeszła odpowiedź, że zgadzają się przyjąć kapitulację i wypuścić załogę bunkra do domów pod warunkiem wydatnia żywych dwóch ludzi — mieli to być Hitler i Goebbels. Dla każdego rozsądnego człowieka żądanie Rosjan było zrozumiałe. Nie po to ponosili ofiary i oblegali Berlin, aby teraz pozbyć się dwóch największych sprawców nożni wojennej.

Krebs powrócił do bunkra i przedstawił warunki Rosjan. Znowu zaplanowała czarna rozpacz. Bormann, jak zwykle, nie zabierał głosu, pozwalając mówić innym. Postanowiono zawiadomić Rosjan, że układy zostały

zerwane i zrealizować plan ucieczki.

Krebs udał się do sypialni Hitlera. Towarzyszył mu Burgdorf. Przez otwarte drzwi widzieliśmy rozgrywające się tam błyskawiczne sceny. Pierwszy postąpił Krebs. Nagle jego zjawienie się rozgniewało wilczura Hitlera, który nie darzył Krebsa sympatią. Pies rzucił się na generała. W tej sekundzie padł strzał i wilczur zaskowyczał. To Krebs strzelił przez kieszonkę. Niezwykle zachowanie się generała w pomieszczeniu fuhrera dało czterem znajdującym się tu ludziom wiele do myślenia. Ale krótka walka z wilkiem przekreśliła plany Krebsa. Ewa wykorzystowała tę zwłokę w swoisty sposób. Wyszarpnęła z kieszeni zakiepu mały rewolwer i z odległości metra strzeliła do Hitlera. Krebs wpadł w szal, w jego reku również błysnął rewolwer. To, co się później działo, trudno opisać i nie wiadomo kto strzelał do kogo. Faktem jest, że w sypialni fuhrera leżało pięć trupów. Tak zginął Hitler, Ewa, Joseph i Magda Goebelsowie oraz Krebs. Ranny Burgdorf wyczołgał się na korytarz.

W gorączkowym pośpiechu przystępowaliśmy się do ucieczki. W górnym pomieszczeniu schronu spali w jednym z pokoi dzieci Goebelsów. Jasne jest, że nie było sensu obarczać się tym balastem. Zostawiliśmy ich, że nie mogliśmy. Bormann postanowił ich otruć.

Ogólna ucieczka nastąpiła w godzinie pierwszej maja wczesnym i wkrótce straciliśmy ze sobą łączność. Droga, którą wybrałem, zasypana była gruzami rozbitej kamienicy. Cofnąłem się kanałem i koło kancelarii wyszedłem na ulicę. Berlin płonął oświetlony pożogą i pociskami. Noc była chłodna, a ja w kanałach przemokłem. Wróciłem do bunkra, aby zebrać się w suchy ubranie. I tam ku mojemu zdziwieniu, spotkałem Bormanna. On też wrócił, aby — jak mówił, zabrać niezbędne dokumenty.

Przebrałem się, wypiłem szklankę koniaku i wyszedłem. Z Bormannem ustaliliśmy spotkanie w alpejskiej reducie. Ja szczęśliwie omiłem rosyjskie strażnice i po dłuższej tułaczce dotarłem tam. W tydzień po mnie zjawili się również Bormann.

SLAWOMIR ORŁOWSKI

(Fragmenty większej całości prawa przedruk zastrzeżone S.O.)



pan był łaskaw zupełnie o nas zapomnieć.

Grozi mi — pomyślał Justyn.

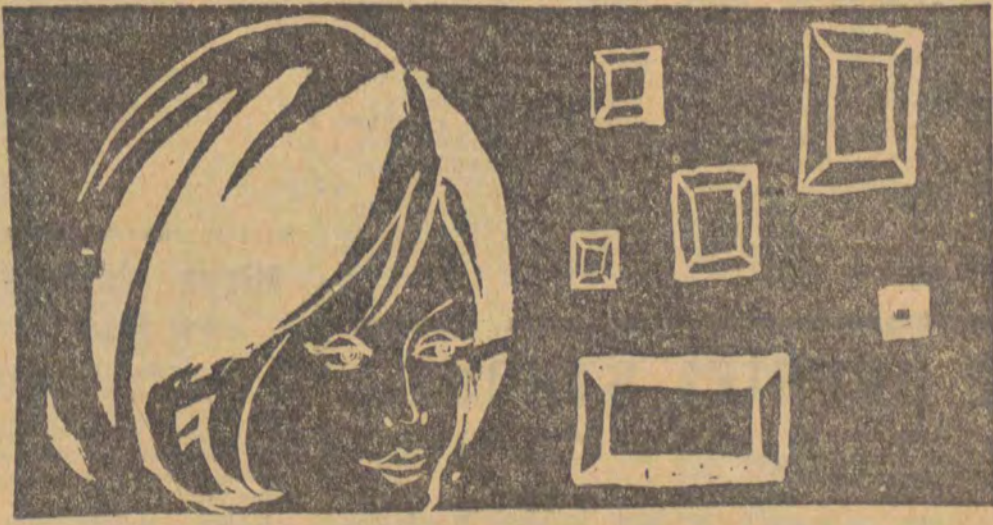
— Pan profesor cierpi na gardło, mówi mało i z najwyższym trudem, musieliśmy, jak pan widzi, prosić profesora Tyzenhauza, żeby go zastąpił, pan Studnicki odbywa tu normalne obowiązki.

Podchorąży stuknął raz jeszcze obcasami, odmeldował się służbowo, dosiadł konia i popędził w las.

— Pani jest nadzwyczajna — Konrad pochylił się z szacunkiem do rąk Madam.

Marek, prawem starszeństwa, wezwał przyjaciół na naradę. Zamknęli się znowu w pokoju Justyna.

— Robimy tak: Ty, Justynku, leżysz w łóżku, jesteś chory, umieras, prawie cię nie ma, zupełnie wypadasz z gry. Zapamiętaj sobie, nie ma cię, twoja obecność może podziałać na Zbicka Wielkiego jak czerwona płachta na byka. Tyle rozkaz wodza naczelnego numer jeden. Teraz rozkaz numer dwa: jeżeli odbędzie się tutaj prawdziwe posiedzenie sztabu, trzeba zorganizować podsłuch, musimy wiedzieć, rozumiecie? My musimy wiedzieć, o czym to gagatki radzą. Nie ma dla nas ważniejszej sprawy. Z braku innego rekruta, trzeba użyć do akcji szeregowców Bogusława i Maurycygo. Zajmą oni strych na pięterku z lewej strony, sufit jest cienki i zakonuja co słyszeli. W nagrodę awans wojskowy i całkowite grzechów odpuszczenie, ze wszystkich przedmiotów w naszej uczelni. Podczas narady, nasza kadra oficerska, to znaczy Konrad i ja, upozoruję wesołą zabawę,



że niby gównie nas to wszystko obchodzi. Naczelny wódz będzie grał na fortepianie, porucznik Tyzenhauz, pan będzie śpiewał. Rozkaz numer trzy: jeżeli te gagatki zejną po naradzie na ochłąj, a zejną na pewno, nie możemy się absyntować, to będzie źle widziane, oni są strasznie podejrzliwi, zupełnie jak policja. Nasi oficerowie i szeregowcy ślają do stołu jako ochrona Madam. Podchorążowie to znani ostrobojcy. Stosujemy system dwóch karafek. Oni — woda, mi, niestety — woda, która jest bardzo zdrowa i pożywna. Czy są pytania? — Są — Justyn miał poważne wątpliwości — a jak oni nie zechcą obradować na pięterku? — Zechcą, chory człowieku. Madam wytłumaczy tym

baranom, że to nie zamieszkała część pałacu, tylko tam można spokojnie obradować. Jasne?

— Jasne, wodzu, ale jak uswiadomisz Wilczków?

— Przecież ich zaprzysiągłeś.

— Rzeczywiście, zgadza się.

— Poruczniku Tyzenhauz, proszę przyprowadzić wojsko. Wilczkowie to idealni żołnierze, nie doceniają ich Justynku, mało myślą, jeszcze mniej gadają.

Bogusław i Maurycy stawili się natychmiast. Marek rozpoczął odprawę armii przed bitwą.

— Jesteście żołnierzami Polski podziemnej, prawda?

— Tak jest! — Wilczkowie przyjęli postawę zasadniczą. Znali już także technikę

A wszystko to dzieje się z myślą o koordynacji mowy artykułowanej jako języka umysłu z ruchem ciała jako językiem uczucia, co tak gorąco zalecał Wołkoński w swojej rozprawie o „słowie wyrażającym”. Taktika Grotowskiego poszła może bezwiednie także w ślady legendarnego już dziś Gota, profesora konserwatorium paryskiego, który mając na względzie naturalny pęd mowy ludzkiej, owo tajemne żywotne słowa, kazał uczniom swoim brać kolejno najpierw jedną gamę dźwiękową w górę, drugą w dół w tej intencji, aby słowo, nabierając głębi i plastyczności i tonacyjnej dąło się nagać do najbardziej wyrafinowanych form wypowiedzi recytatorskiej i teatralnej.

Kolegium sędziowskie faworyzujące chętnie kierunek uznanego klasycyzmu form i stylów literackich powinno zapoznać się także z nowymi stylami a w żadnym razie nie zamykać się w jakieś ulubionej parafii intelektualnej, bo na tym tle — jak to ktoś słusznie zauważył — zrodzić się może łatwo parafian szczyzna recytacji.

Z tego punktu widzenia jasne być musi, że do sądów konkursowych dobrać trzeba ludzi, którzy z całą świadomością swojej roli społecznej, aktywnym i oświeconym stosunkiem do przemian literackich i kunsztu recytatorskiego — mogą dać gwarancję rozsądnej analizy wartości i obiektywizmu sceny.

W każdym bądź razie ograniczenie udziału niefachowców wydaje się być wskazane z uwagi na to, że zaproszenie delegacji instytucji i organizacji społecznych na ogół nie wjaśmieni w arkana sztuki mówienia, ale sąsiedzi z prawem głosu w decydujących konkursowych, miesza ją nieraz szyki i swoja pretensjonalnością, a jakże często omylna ingerencja sprowadzały powagę sesji kwalifikacyjnej niemal do granic groteskowych, jeżeli nie absurdalnych.

Dyskusyjny wydaje się być jednak również udział aktorów w sądach konkursowych, nie tylko dlatego, że regularność ich uczestnictwa w przesłuchaniach eliminacyjnych kolduje często z terminarzem zajęć w macierzystych placówkach, ale przede wszystkim, z tej racji, że poglądy zawodowców na recytację amatorską wyrażane niejednokrotnie wrużaniem ramion z pozycji nieomylnego autorzytetu fachowca mijają się z zasadami kodeksu sztuki recytatorskiej, kodeksu, który wyklucza dobrze widziana przez aktorów domieszkę gry scenicznego.

Innym, również doniosłym szczegółem, integralnie związanym z kryteriami ocen w daje się być konieczność rozczłonowania przesłuchań eliminacji według pochodzenia społecznego, przynależności klasowej i poziomu intelektualnego recytatorów. Miejszane wystąpienia pracowników umysłowych, fizycznych, młodzieży akademickiej i uczniów szkół stopnia licealnego mają wprowadzić swój sens z punktu widzenia równego startu dla każdego uczestnika, jednakże w estetycznym efekcie na skutek narzucających się porównań wartości interpretacyjnych, wywołują ferment wśród aspirujących do wyższego szczebla eliminacji, zwłaszcza wtedy, gdy nowicjuszom stają na drodze laureaci, zagarniający zwykle najlepsze lokaty w skurczonym z konieczności liście miejsc.

„Ułożenie znośnego współżycia między recytatorami a jury sprzyjałoby z jednej strony bujnej wegetacji samej sztuki recytatorskiej, z drugiej — wzmoczeniu zainteresowań tą, z punktu widzenia funkcji społecznej, potężną dyscypliną, która po uporządkowaniu pojęć i wyobrażeń dotyczących estetyki i techniki żywego słowa, może stać się skuteczną bronią w szlachetnej batalii o kulturę i piękno mowy polskiej.

MICHAŁ ORLICZ

dysonował specjalnie na stół sprawił jak najlepsze wrażenie. Marek zauważył:

Hodowle tych zwierzątek założę sobie w dniu zakończenia wojny, od razu nie będzie bażantów. Pojęcia nie mam co jedzą komuniści.

— Dowiesz się, bądź spokojny — zaśmiał się Justyn.

Kiedy szczałki doczesne królika spadły pod stół, gdzie warowały Barnaba, Merdaika i Fortuna, Marek poderwał przyjaciół.

— Madam wybaczy, musimy odbyć posiedzenie rady pedagogicznej, trzech profesorów ustalił jak pracować z dwoma uczniami.

Podchorąży siedział przy fortepianie, spod jego palców wypływał smutny walc. Na widok Madam i profesorów poderwał się dziarsko, poprawił mundur i stuknął obcasami.

— Pani, mój dowódca polecił mi przekazać żołnierskie pozdrowienia mieszkańcom pałacu.

— Proszę podziękować panu dowódcy za pamięć.

— Mój dowódca polecił mi spytać uprzejmie, czy mógłby w tym starym domu polskim odbyć dziś wieczorem pewną ważną naradę? Gwarantujemy całkowicie bezpieczeństwo.

— Proszę powiedzieć swemu dowódcy, że zawsze jesteśmy radzi widzieć polskich żołnierzy.

— Dziękuję pani w imieniu służby, dziękuję panom!

Stuknął dziarsko obcasami i zwrócił się do Justyna.

— Mój dowódca ma nadzieję porozmawiać z panem,

radę sztabu miejscowego oddziału eneszetu.

Marek złapał się za głowę.

— A wy skąd to wiecie?

— Cale Zalesie wie! Trzymamy się kupa, tylko mamy pietra przed bykowcami żandarmerii, którą dowodzi porucznik Kuropatwa, a zastępuje go podchorąży Jerzy, ten co tu niedawno był.

— Co jeszcze wiecie? — zachrypił Justyn.

Bogusław spojrzął ciepło na swojego profesora.

— Wszystko wiemy, jak pan porucznik Justyn rozkazał. Żołnierz musi mieć oczy otwarte na wszystkie strony i mieć uszy nastawione na wszystkie strony. Podsłuch zorganizowaliśmy od samego południa, wiemy co Jerzy mówił, wiemy też, że pan porucznik Justyn naraził się Żbickowcom, bo nie chce u nich wykładać, ale to nie, damy sobie radę.

— Dziękuję wam, żołnierze! A teraz na stanowiska bojowe!

Justyn został sam. Jakikż czas wyglądał dyskretnie przez okno. Na niebie pokazał się skrawek błękitu, po nim drukił, trzeci, błękit rozrastał się, aż wreszcie pojedyncze chmurki rozpoczęły normalną żegluga. Po ziemi wędrowały złote plamy zachodzącego słońca.



NAJGORZEJ na BAŁUTACH

W łódzkich szkołach średnich uczy się obecnie 32 088 uczniów. Na terenie tych szkół działają dwie najpotężniejsze polskie organizacje młodzieżowe — Związek Młodzieży Socjalistycznej i Związek Harcerstwa Polskiego. Zrzeszają one 34 proc. ogółu uczniów szkół średnich. Nie jest to procent zbyt imponujący, gdyż wskazuje, że dwie trzecie uczącej się młodzieży nie należy ani do ZMS, ani do ZHP. Nie chcemy nawoływać do zwiększenia liczby członków tych organizacji za wszelką cenę. Lepiej mieć trzecią część uczniów jako rzeczywistych członków, niż nalegać na liczbę rzeszą członków fikcyjnych. Nie wzbudza obaw stan liczebny członków ZMS, których jest w łódzkich szkołach średnich 8341. Natomiast o wiele gorzej wygląda sytuacja w ZHP, który zrzesza tylko 1823 uczniów. Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że trzonem harcerstwa jest młodzież szkół podstawowych. Tym niemniej działalność drużyn harcerskich w szkołach średnich powinna leżeć na sercu tej organizacji. Pamiętamy przecież, że kilka lat temu harcerstwo w szkołach średnich było organizacją bardzo prężną. Dzisiaj na skutek zwiększenia popularności „konkurencyjnego” ZMS, harcerstwo w szkołach średnich nie spełnia już tej roli. Prawie katastrofalnie wygląda sytuacja w dzielnicy Bałuty. W znajdujących się tutaj 13 szkołach, zrzeszonych jest tylko 83 harcerzy (gdy np. Polesie z taką samą liczbą szkół ma 597 członków, a Widzew w sześciu szkołach posiada ich 142). Różnica jak widać są bardzo duże. Dlatego w interesie samej organizacji leży rozwinięcie wspomnianej akcji propagandowej w szkołach Bałut. ZHP nie powinien pozwolić, by w tej dzielnicy wypadło przeciętnie około 6-7 harcerzy na szkołę średnią. A może „zaniedbany” harcersko-Bałutami zajęłyby się istniejące na terenie naszego miasta drużyny akademickie?

T. W.

Nad „BALATONEM”

Prasa codzienna zdążyła już dokładnie poinformować łódzian o wszystkim co dotyczy tej ostatniej chluby naszego miasta. — Wiadomo zatem, że nad „Balatonem” znajduje się super — kawiarnia kategorii, oczywiście „S”. Dlaczego akurat „S” zostanie to słodka tajemnica LZG. Chodzi wszakże o coś innego.

W lokalach tejże kategorii wymaga się stroju wieczornego, którego jak sama nazwa wskazuje nie przywdzieła się rano. A w kawiarni „Balaton” słyzy się takie np. rozmówki o godz. 11 przed południem:

— Pan nie wejdzie, bo pan ma pomidorowe spodnie.

Albo:

— Pani nie wejdzie.

— Dlaczego?

— Bo kierowniczka nie pozwala wpuszczać kobiet uczesanych a la Madonna.

Kobieta uczesana „a la Madonna” miała po prostu włosy spuszczone na ramiona.

Nie mamy nic przeciwko żądaniom kawiarni dotyczącym stroju i wyglądu. Ale gdzieś musi być rozsądna granica. Jeśli dziś nie wpuszcza się kobiet uczesanych na Marinę Vlady, jutro być może zakaz dotknie... tyśych. W gastronomii nie nie wiadomo.

Korespondencja

Do Redaktora Naczelnego „Odgłosów”

W cyklu wierszy publikowanych w nr 16 „Odgłosów” pominięto wspólny tytuł „Wiersze z Czechosłowacji”.

To dosyć istotne, wobec ich sensu, czyli tak zwanej konkretyzacji, która bywa subiektywna.

Z wyrazami szacunku i powa-
żania

JERZY WALENCZYK

odgłosy TYGODNIA

ŚLUSARZ ZAWINIŁ

„Polska krajem ludzi kształcących się” — to hasło znane jest wszystkim, mało — to hasło jest jak najpełniej realizowane. Tym bardziej więc zaskoczyła nas historia, która niedawno miała miejsce w Szpitalu im. Babińskiego.

Otóż pracował tam pewien ślusarz. Ślusarz rok temu zdał maturę w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących i pragnął rozpocząć studia na Wydziale Prawa UL. Oczywiście, ze względu na sytuację rodzinną nie mógł studiów odbywać stacjonarnie. Poprosił zatem dyrekcję szpitala o podpisanie skierowania na studia zaoczne.

I tu rozpoczynają się paradoksy. Najpierw poproszono o oświadczenie, w którym przyszły student miał zrzec się wszystkich przysługujących mu urlopów związanych z sesjami egzaminacyjnymi. Oświadczenie takie nie zostało jednak podpisane. Poza tym dyrekcja zorientowała się, że zawieszanie podobnych „umów” jest całkowicie bezprawne — sprawę postawiła inaczej.

— Ślusarz na prawo? — zaczęło się dziwić. — Idź pan na politechnikę, to podpiszemy skierowanie.

Uznano widać, że ktoś, kto zawód ślusarza zdobył mając lat siedemnaście, nie ma prawa będąc aktualnie dwudziestodwuletnim mężczyzną pokierować swoim życiem tak jak mu dyktuje własny wybór i zainteresowania.

Historia ma zakończenie pesymistyczne. Odmówiono w końcu podpisu przyszłemu studentowi, a przecież tak wiele mówi się i pisze o potrzebie zdobywania wykształcenia przez robotników.

Wydawać by się mogło, że ludziom garnącym się do rąk należy się pomoc. I pomoc ta jest w większości wypadków okazywana. Tym bardziej więc dziwi i oburza stosunek dyrekcji Szpitala im. Babińskiego do omawianej sprawy. A może istnieją w Służbie Zdrowia specjalne zarządzenia zabraniające ślusarzom studiów prawniczych? Nie wydaje się to nam prawdopodobne. W.

Przed turystycznym sezonem

Wiosna coraz wyraźniejsza, zaczynają więc mieszkańcy naszego zakurzonego miasta przemyślać o wyjazdach na świeże powietrze. Pewnie już niedługo zaroją się licznymi tłumami okolice Grotnik i stawów Stefańskiego. Nie potępiając starych, uświęconych tradycją przywykłych do tych właśnie okolic proponujemy jednak nieco dłuższe wojaże na mniej utartych szlakach. A wojaże takie — do wyboru i koloru — organizuje nam Oddział Łódzki PTTK. Z bogatego w interesujące pozycje kalendarzyka imprez PTTK wynotujemy tylko kilka.

W dn. od 1 do 5 maja odbędzie się rajd kolarski w Górach Świętokrzyskich. W tym samym okresie również w Górach Świętokrzyskich odbędzie się Ogólnopolski Rajd „Wiosna 63”. Miłośników turystyki pieszej PTTK zaprasza na rajd pieszy po pow. łowickim organizowany w dn. 24-26 V.

„Wodniaków” zainteresuje zapewne wiadomość, że w dn. 13-16. VI. odbędzie się spływ kajakowy na Pilicy.

Warto też wspomnieć o wielkiej imprezie pod nazwą Złoty 1000-lecia, który zakończy się 22. VII. w Kuszynicy.

PTTK organizuje również imprezy dla posiadaczy pojazdów na dwóch i czterech kółkach. Z imprez tych warto wspomnieć o rajdzie szlakiem Orlich Gór w dn. 12-16. VI., który zakończy się w Ojcowie, o wycieczce w stronę konwencji do Drezna i Miśni w czerwcu br.; o wycieczce turystyczno-wypoczynkowej (5-7 VII) do Kazimierza Dolnego. O tych to imprezach nie tylko informujemy, ale i zachęcamy do wzięcia w nich udziału.

Z DRUGIEJ STRONY...

W związku z naszymi notami zamieszczonymi w „Odgłosach tygodnia” oraz felietonami i artykułami napłynęło do redakcji sporo korespondencji, wyjaśnień i polemik. Dzisiaj kwitujemy pisma:

Łódzkich Zakładów Gastronomicznych „Bary” (Łódź, ul. Obrońców Stalingradu 2), które w odpowiedzi na notę „Niesmaczne w Smakoszu” („Odgłosy” 7.IV.) zawiadamiają, że jeszcze przed ukazaniem się naszej notki zostało wydane specjalne pismo okólnie („w trosce o zapewnienie podstawowych warunków higienicznych konsumentom stołującym się w podległych nam zakładach”) zobowiązujące kierowników i sprzedawców do przestrzegania porządku. Ale jak widać, nie wszyscy sprzedawcy traktują na serio okólniki swoich władz. Oby nadzieja wyrażona w piśmie LZG, że „będzie lepiej”, nie pozostała wyłącznie w sferze marzeń...

Łódzkie Przedsiębiorstwo Elektryfikacji Rolnictwa (Łódź, Grudziądzka 5) w związku z opublikowanym w numerze 10 „Odgłosów”

artykułem „Niewygrany atut” na temat między innymi profilaktyki na odcinku BHP w dziedzinie elektryfikacji wyjaśnia, że od roku 1958 prowadzona jest wśród mieszkańców elektryfikowanych wsi akcja szkoleniowa, której celem jest „zapoznanie rolników z bezpieczeństwem pracy przy urządzeniach elektrycznych i z właściwym użytkowaniem odbiorników energii elektrycznej”. Jak wynika z pisma akcja szkoleniowa prowadzona jest w różnych fazach robót elektryfikacyjnych i przybiera szerokie formy (pokazy praktyczne filmy, pogadanki). LPER jest również inicjatorem i współorganizatorem szkoleń uprawniających do obsługi silników elektrycznych. Z tego rodzaju akcji skorzystało dotychczas ok. 3,5-tysiąca rolników.

Redaguje Zespół a Wydawca „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” a Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-78 a Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,- kwartalnie zł 12,- a Redakcja nie zamawia kopii pocztowych. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki IV Zam. 1339. IV. 63. K-4

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



Zofia Wilczyńska — zaczęła swą drogę sceniczną jako tancerka. Jest wychowanką Warszawskiej Szkoły Baletowej.

Od roku 1939 występuje w warszawskim teatrze „Wielka Rewia” przy ul. Karowej.

Po wojnie — praca w Łodzi w teatrze „Syrena”, aż do jego wyjazdu do Warszawy. Pani Zosia pozostaje w Łodzi i wstępuje do Teatru Powszechnego. Tutaj pracuje siedem lat pod dyrekcją J. Chojnackiej.

Z ważniejszych ról: Hanka w „Moralności pani Dulskiej”, Michasiowa — w „Pannie Maliczewskiej”, Lukrecja — w „Cestynie”.

Pani Wilczyńska już od 5 lat gra z powodzeniem na scenie Teatru 7.15 w Łodzi.

W chwili obecnej kreuje rolę Sylwii — w sztuce „Człowiek, który przyszedł w piątek”, Artura Watkyna.

Pamiętamy ją dobrze z filmu „Przygoda na Mariensztacie” i „Awantura o Basię”. Ostatnio gra rolę Kasztelanowej w „Zacnych grzechach” reż. Wałkowskiego.

Tekst i foto: Gerard Puciato

Młoda plastyka w ZMS

To naprawdę bardzo radosne zjawisko, że powstają w Łodzi jak przysłowiowe grzyby po deszczu coraz to inne, coraz ciekawsze miniaturowe galerie współczesnego malarstwa.

Ostatnio taką ekspozycję — mamy nadzieję, że będzie to cykl — zorganizował ZMS-owski Klub „Bakalarz” przy ul. Narutowicza 41. Na ścianach, w dwu niewielkich salkach znalazły się bardzo interesujące, chciałyby się rzec dojrzałe prace dwu studentek III i IV roku malarstwa Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych — pani Magdy Koplińskiej i pani Ewy Grzelak.

Jak wiemy, ZMS prowadzi wiele młodzieżowych klubów i kawiarenek. Może warto więc pokusić się o zorganizowanie podobnych miniaturowych wystawek w innych studenckich i robotniczych placówkach. Trud niewielki a oplaci się i to jak jeszcze!



do drugiego podał 30 czerwca 1963 r.

ZŁOTE MYŚLI ŁÓDZIAN

W 1911 roku nakładem firmy Petersilge, Hessen i Manitius ukazała się jednodniówka na rzecz „Dnia ubogich” w Łodzi. Otóż w tej jednodniówce jako autorzy wystąpili najbardziej znani łódzcy działacze społeczni.

...Jeśli prawda, że każdy jest własnego losu kowalem, to po cóż mówić: Ironia losu? Fuczerka kowalska — byłoby wiasciwiej. Podp. Aleks. Babicki. (Znany łódzki adwokat cywilista).

...Sa ludziska dobrzy, którzy biednym ofiarują więcej niż sami posiadają. Na przykład my, łódzianie: szczere, zdrowe i rozsądne myśli. Podp. Henryk Frenkel, b. popularny dziennikarz.

...Lepsze sztuczne miłosier-

dzie, niż prawdziwa nuda. Podp. dr Arkadiusz Goldenberg. (Lekarz i wybitny orientalista).

...Król Salomon spomiedzy tysiąca żon ani jednej nie znalazł dobrą prawdopodobnie dlatego, że wszystkie były jego własne. Niewątpliwie zmieniłyby zdanie, gdyby poznał choć z dziesięć cudzych żon, znalazłby niezawodnie wszystkie bez wyjątku dobrejmi.

...Nie tylko niewierność i niestałość żon są nieszczęściem; są nim także często wiarość i stałość przyjaciół. Podp. Artur Goldstadt, inżynier i dyr. naczelny „Czestochovienne”.

...Prawdziwy znawca muzyki zwykle mało o niej mówi. Podp. Tadeusz Joteyko (kompozytor i dyrygent).

...Gdyby moralność kupiecka w Łodzi mierzyć solidnością i uczelnością przemysłowo-ban-ditowską manipulacji, przyszła stolica przyszłej łódzkiej guberni byłaby jednym z najplągowatych miast. Podp. Piotr Kon, adwokat przysięgły, znany obrońca w sprawach politycznych.

...Był tytan, co stawił kroki stuwiorstwie i był karzeł, co przerosł tytana o głowę. Podp. Jan Garlikowski, red. „Kuriera Łódzkiego”.